



POLSKA BOMBA ATOMOWA

MRZONKA CZY KONIECZNOŚĆ?

W numerze:

Dlaczego potrzebujemy broni jądrowej

Michał Kuź 3

Roszczyki wewnętrzne wzmocnią PiS?

Łukasz Warzecha 6

Majdan – stawka starcia

Tomasz Rola 8

Kraj zaniżonych płac

Z prof. Mieczysławem Kabajem rozmawia Stefan Sękowski 10

Papież ponad prawicą i lewicą

Krzysztof Wołodźko 14

W miłości pustka i utrapienie

Krzysztof Koehler 17

Dlaczego potrzebujemy broni jądrowej



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Jeśli rozkład NATO nie ma się skończyć konfliktem w stylu kaukasko-bałkańskim, to albo należy Rosję rozbroić nuklearnie, albo pozwolić krajom Europy Środkowo-Wschodniej na atomowe uzbrojenie się.

W maju tego roku zmarł prof. Kenneth Waltz. Jego teorie na temat broni nuklearnej wciąż jednak żyją i mają się dobrze. I należą do kategorii tych twierdzeń o polityce, których nie udało się jeszcze w żaden sposób podważyć, a jednocześnie niemal nikt nie jest gotowy zaakceptować ich konsekwencji.

Dlaczego nie było nuklearnej zagłady

Koncepcja Waltza jest w istocie banalnie prosta: rozprzestrzenianie broni nuklearnej zwiększa prawdopodobieństwo pokoju na świecie oraz uśmierza poszczególne konflikty pomiędzy posiadającymi taką broń państwami. Profesor po raz pierwszy ogłosił tę ideę w latach 80. XX w., kiedy to jego koledzy zastanawiali się, co pozwoliło nam uniknąć wieszczoności od dawna „nuklearnego holokaustu” i jak zapobiec dalszemu – jakoby niechybnie doń prowadzącemu – rozprzestrzenianiu broni jądrowej.

W swojej słynnej monografii zatytułowanej po prostu „Rozpowszechnienie

broni nuklearnej” (The Spread of Nuclear Weapons) Waltz odwrócił pytanie i postanowił zastanowić się, dlaczego pomimo bezprecedensowego w historii ludzkości wyścigu zbrojeń nie doszło nigdy do decydującego starcia między blokiem sowieckim a Zachodem. Podstawową odpowiedzią, jakiej udzielił, było stwierdzenie, że budowa arsenałów jądrowych sprawiła, iż koszty nawet formalnie zwycięskiej wojny (USA wyścig zbrojeń stosunkowo szybko wygrały) stały się nie do zaakceptowania.

Waltz jednak nie zatrzymał się na tematyce czysto zimnowojennej. Postawił bowiem mocniejszą tezę: że w powojennej polityce międzynarodowej do krwawych konfliktów zbrojnych dochodzi tylko i wyłącznie między krajami nieposiadającymi broni nuklearnej lub między potęgami nuklearnymi oraz ich nienuklearnymi ofiarami. Co gorsza, sytuacja braku nuklearnej „równowagi strachu” de facto zachęca stronę mającą przewagę do użycia swoich głowic atomowych zupełnie tak, jak to miało miejsce w 1945 r.

Dlatego też globalne i regionalne systemy międzynarodowe w sposób naturalny dążą do tego, żeby wszystkie państwa osiągające choćby minimalny stopień stabilności w broń nuklearną wyposażyc. I zdaniem Waltza nie należy zupełnie tego procesu hamować. Historia istotnie nie zna jeszcze przykładów, które podważałyby tę teorię, gdyż nawet najgorętszy obecnie konflikt pomiędzy nuklearnymi mocarstwami, Pakistanem a Indiami, ogranicza się do drobnych starć na granicy. Był to zaś spór zdecydowanie bardziej zaogniony, nim oba państwa zrównoważyły się nuklearnie.

Potwierdza to w skali mikro zimnowojenny mechanizm. Teoria Waltza z czysto naukowego punktu widzenia broni się więc doskonale. Problemy zaczynają się dopiero, kiedy staramy się przełożyć ją na język praktycznej polityki. W maju 2012 r. sędziwy już Waltz ogłosił bowiem w prestiżowym „Foreign Affairs” artykuł pod niedwuznacznym tytułem „Why Iran Should Get the Bomb” (Dlaczego Iran powinien mieć bombę). Powołując się na doktrynę nuklearnego odstraszania swojego autorstwa, Waltz argumentował, że sytuacja, w której Izrael jest jedynym na Bliskim Wschodzie graczem wyposażonym w głowice jądrowe, grozi dalszymi konfliktami, dopóki ktoś go nie zrównoważy.

Kubrick kontra Waltz

Twierdzenie to wywołało burzę. Nie mogąc zaatakować teorii Waltza wprost, jego krytycy skupili się na dwóch założeniach ją wspierających. Po pierwsze, koncepcja Waltza ma sens tylko, jeśli przyjąć, że wszyscy politycy są racjonalnymi graczami, którzy nigdy nie zdecydują się na anihilację powierzonej im społeczności. Po drugie, opiera się ona na założeniu, iż wszystkie

strony konfliktu z reguły mają wiarygodną wiedzę na temat potencjału nuklearnego swoich oponentów.

W sytuacji faktycznego konfliktu zbrojnego oba te założenia mogą jednak zawieść, a wtedy jeden mały błąd będzie miał niewyobrażalne konsekwencje. O takiej właśnie sytuacji traktuje słynny film Stanleya Kubricka, w którym tytułowy dr Strangelove wychodzi z podobnych założeń co Waltz. W praktyce jednak przychodzi mu się zmierzyć z maniackim amerykańskim generałem, który chce zniszczyć wroga bez względu na koszty, i z paranoicznymi przywódcami sowieckimi, którzy postanowili nie powiadamiać świata o swojej najnowszej broni masowego rażenia.

Rozprzestrzenianie broni nuklearnej zwiększa prawdopodobieństwo pokoju na świecie oraz uśmierza poszczególne konflikty pomiędzy posiadającymi taką broń państwami

Ponownie jednak okazuje się, że faktyczna polityka bliższa jest przewidywaniom Waltza niż artystycznej wizji Kubricka. Nawet rzekomo nieprzewidywalny Iran jak na razie zachowuje się całkiem racjonalnie i w zamian za odstąpienie od ostatecznej fazy budowy broni jądrowej stara się jak najwięcej ugrać w negocjacjach z USA. Większość ekspertów jest obecnie zgodna co do tego, że strategia, jaką Iran chce obrać, to „zatrzymać się na 5 minut

przed bombą” pod przykrywką rozwijania programu cywilnego.

To znana i już wypróbowana strategia; wielu krajom wystarczy bowiem, że mają technologię oraz materiały, aby w stosunkowo krótkim czasie swój energetyczny program nuklearny przerzucić na militarne tory. Warto tu dodać, że choć istnieje technologia elektrowni jądrowych działających jedynie w oparciu o niewzbogacony, naturalnie występujący uran, który nie może być wykorzystany do konstrukcji broni, to nie jest ona na razie wykorzystywana. Mało tego, kraje takie jak Niemcy, Brazylia i Japonia mają własne programy wzbogacania, które teoretycznie pozwalałyby im na produkcję głowic nuklearnych w ciągu kilku miesięcy.

Waltz a sprawa polska

Teoria Waltza o agresywności potęg nuklearnych w starciu z krajami, które takiej broni nie posiadają, ma poważne konsekwencje dla Europy Środkowo-Wschodniej. Jeśli bowiem rację mają ci analitycy, którzy tak jak Tomasz Szatkowski mówią o końcu geopolitycznych złudzeń i zwijaniu parasola NATO znad Europy Środkowo-Wschodniej przy równoczesnej rozbudowie armii rosyjskiej, oznacza to, że w regionie ponownie dochodzi do niebezpiecznego braku równowagi sił.

Skandynawowie, kraje bałtyckie, Polska, Czechy i Węgry tracą bowiem pewność, że stoją za nimi zachodnie potęgi nuklearne (Wielka Brytania, Francja i USA). Potencjalnego konwencjonalnego konfliktu z Rosją nie mogą zaś wygrać, a więc cała misternie budowana przez te kraje logika odstraszania przestaje w razie upadku NATO działać. A przecież tylko posiadanie za sobą potęgi strachu, jaką dysponują zachodnie mocarstwa, odróżnia

np. Łotwę od Gruzji i tylko dlatego przy okazji bardzo podobnych zaognień w stosunkach z Rosją Gruzja została zaatakowana, a Łotwa nie.

Prowadzi to do bardzo niewygodnej dla dzisiejszych mocarstw konkluzji: jeśli rozkład NATO nie ma się skończyć konfliktem w stylu kaukasko-bałkańskim, to albo należy Rosję dokumentnie rozbroić nuklearnie, albo pozwolić krajom Europy Środkowo-Wschodniej na atomowe uzbrojenie się.

Ameryka zapewne zdaje sobie sprawę z tego problemu strategicznego i nie jest chyba zachwycona żadną z opcji. Być może dlatego trzy lata temu w ramach promowanej przez USA Global Threat Reduction Initiative wywieziono z Polski do Rosji 450 kg wysoko wzbogaconego paliwa z reaktorów doświadczalnych Maria i Ewa. Amerykański Zarząd Bezpieczeństwa Nuklearnego oficjalnie podał przy tym, że czyni tak z obawy, iż materiały te mogą być użyte do produkcji broni jądrowej.

W naszym regionie najwięcej reaktorów działa w Szwecji (10), Czechach (9), Finlandii (6) i na Węgrzech (4). Reaktory doświadczalne w krajach bałtyckich zostały już zamknięte, a w Polsce działa tylko Maria. Wszystkie kraje w regionie kupują jednak swój wzbogacony uran za granicą, głównie w Rosji. Wyłączywszy Niemcy, na terenie Europy Środkowej nie ma obecnie fabryki zajmującej się procesem wzbogacania, a to właśnie ta technologia jest powszechnie uważana za wstęp do nuklearnego odstraszania. Jest tak dlatego, że nawet uran wystarczająco wzbogacony, by być użyty do produkcji prętów paliwowych dla elektrowni, musi być poddany dalszej obróbce, by posłużyć do produkcji głowic.

Niewykluczone jednak, że pewnego dnia kraje naszego regionu zapragną mieć

swoj własny program wzbogacania uranu. Może się też w ostateczności pojawić wspólna (np. Polski z Czechami i Węgrami) inicjatywa rozwoju badań nad militarnym zastosowaniem tak pozyskanego surowca.

Scenariusz ten uprawdopodobnia wzrost rosyjskiej armii i demonstracyjnie przeprowadzane przez nią manewry na terenie granicznej Białorusi, przy dość biernej postawie zachodnich potęg militarnych.

Roszady wewnętrzne wzmocnią PiS?



ŁUKASZ WARZECHA

Komentator polityczny,
publicysta „Faktu”, „wSieci” i „Do Rzeczy”

Ostatnie personalne przetasowania w największej partii opozycyjnej mogą jej para-doksalnie pomóc. Sygnalizują istniejące problemy, ale być może pomogą je rozwiązać.

Najpierw kłopoty Adama Hofmana zastąpionego przez triumwirat w składzie: Maciej Łopiński, Andrzej Duda, Marcin Mastalerek, potem wiadomość o konflikcie pomiędzy prezesem Kaczyńskim a wieloletnim skarbnikiem PiS Stanisławem Kostrzewskim, który pierwszy raz od dawna nie został ponownie wybrany na tę funkcję przez komitet polityczny ugrupowania. Jeszcze jakiś czas temu takie wydarzenia zwiastowałyby kolejne tygodnie znęcania się prorządowych mediów nad PiS i następną złą passę dla największej partii opozycyjnej. Tym razem jest trochę inaczej.

Oczywiście – wysiłki trwają. Wystarczy spojrzeć na okładki ostatnich wydań

„Wprost” i „Newsweeka”. Ale takiej akcji propagandowej jak kiedyś nie da się już po prostu dzisiaj przeprowadzić. Z wizualnego punktu widzenia sprawa niejasnych przepływów finansowych na koncie Hofmana została załatwiona wzorcowo. I mimo prób trudno było skutecznie stworzyć wrażenie równości pomiędzy rozkręcającą się aferą korupcyjną dotyczącą rządu PO a niezgłoszoną pożyczką jednego posła PiS.

Nie zarezonowała też sprawa wydatków Prawa i Sprawiedliwości na zaprzyjaźnione inicjatywy medialne i społeczne, która była prawdopodobnie przyczyną kłopotów Kostrzewskiego. W gruncie rzeczy można postawić tezę, że niechętnie

PiS media, które szukały sposobu uderzenia w partię Kaczyńskiego, wyjątkowo wyświadczyły mu przysługę.

Hofman, którego skuteczność jako rzecznika i kreatora polityki informacyjnej PiS była wątpliwa (w bilansie były pozycje dodatnie i ujemne, ale trudno powiedzieć, czy plusy na pewno przeważały nad minusami, by przypomnieć kampanię przed warszawskim referendum), nie cieszył się w formacji dobrą opinią i sympatią, co utrudniało grę zespołową, a niektóre jego zachowania nie współgrały z konserwatywnym wizerunkiem, jaki chciało kreować PiS.

Można mieć wątpliwości, czy zastąpienie jednego rzecznika trzema osobami będzie rozwiązaniem skutecznym organizacyjnie, ale zastępujący go politycy wydają się dobrze do tej roli przygotowani. Maciej Łopiński przez lata pracował jako dziennikarz, nie jest kojarzony z radykalnymi postawami, rozumie media. Andrzej Duda, choć momentami ostry, nie ma agresywnego wizerunku, jak choćby Joachim Brudziński, a zarazem jest dojrzały i nie razi arogancją, co bywało problemem Hofmana. Jeżeli nie zabraknie konsekwencji, być może triumwiratowi uda się wreszcie okiełznać wizerunek PiS i sprawić, że pozostanie spójny.

Oczywiście poza kontrolą trzech panów pozostaje najważniejszy element: sam Jarosław Kaczyński. To pięta achillesowa największego opozycyjnego ugrupowania i trudność, której nie da się przeskoczyć. Na razie jednak wydaje się, że stara metoda Platformy – drażnienie Kaczyńskiego – przestała być skuteczna. Vide historia z mostem w Bydgoszczy.

Usunięcie Kostrzewskiego z funkcji, mimo lojalności i wielu lat pracy na stanowisku skarbnika partii, pokazuje, że oczyszczenie sytuacji i być może rozbicie jakichś tykających bomb jest priorytetem. To dobry ruch.

Usunięcie Kostrzewskiego z funkcji, mimo lojalności i wielu lat pracy na stanowisku skarbnika partii, pokazuje, że oczyszczenie sytuacji i być może rozbicie jakichś tykających bomb jest priorytetem

Najistotniejsze jednak, że widzimy kolejną sferę, w której nastąpiło odwrócenie dawnej sytuacji. Przez lata PO była silna słabością PiS. Od kilkunastu miesięcy jest odwrotnie. Obszar personalnych przetarasowań i konfliktów w formacji, które przez długi czas dręczyły partię Kaczyńskiego i były pożywką dla niechętnych jej mediów, jest dziś – mimo ponizienia Schetyny – znacznie większy w Platformie.

Oczywiście oczyszczenie Prawa i Sprawiedliwości ma swoje negatywne skutki uboczne – brak tam dzisiaj prawdziwie niezależnych polityków z własnymi poglądami. Ale PO i w tej dziedzinie nie ma już przewagi.

Majdan – stawka starcia



TOMASZ ROLA

Redaktor portalu Kresy.pl

W walce, która rozgrywa się w Kijowie, chodzi przede wszystkim o władzę. To właśnie dlatego Janukowycz w ostatniej chwili zrezygnował z podpisanie umowy stowarzyszeniowej z UE.

Patrząc na kijowski Majdan z polskiej perspektywy, można dojść do wniosku, że mamy do czynienia z fundamentalnym sporem o przyszłość Ukrainy. Po jednej stronie stoją zwolennicy integracji z Unią Europejską, a z drugiej jej przeciwnicy. Przekaz opiera się na manichejskim podziale na „dobro” i „zło”. My wspieramy dobrych, młodych, uśmiechniętych, przeciw „złemu” Janukowyczowi. Nasi politycy jeżdżą do Kijowa, wspierają słowem, dodają otuchy. Tłum wiwatuje zadowolony.

Z ukraińskiej perspektywy wygląda to nieco inaczej. Do piątkowego wieczoru mieliśmy, owszem, do czynienia z protestem ukraińskiej młodzieży, która domagała się podpisania umowy stowarzyszeniowej z UE na szczycie Partnerstwa Wschodniego w Wilnie. Były to protesty apartyjne, wszędzie, gdzie się odbywały, od Lwowa przez Kijów po Donieck, uczestnicy sprzeciwiali się obecności partyjnych flag. Zdarzało się, że podczas przemówień polityków gwizdano, czasem wręcz nie dopuszczano ich do głosu.

Sytuacja zmieniła się w nocy z soboty na niedzielę, gdy oddziały Berkutu niespodziewanie spacyfikowały kilkuset studentów na kijowskim Majdanie. Odtąd protesty, które powoli wygasaly, zyskały nową siłę, mieszaninę złości z nienawiścią, skutkującą niedzielnym wybuchem gniewu. Oba te uczucia są wśród ukraińskiego społeczeństwa coraz silniejsze, łącząc się z frustracją i niechęcią do polityków. Protesty osiągnęły wówczas swoje apogeum.

Te wydarzenia to jednak tylko tło sporu politycznego, który toczy się na Ukrainie. Z jednej jego strony stoi władza, z drugiej zjednoczona opozycja, na której czele są liderzy trzech największych partii: Witalij Kliczko, Arsenij Jaceniuk oraz Ołeh Tiahnybok. Oba obozy opowiadają się za integracją europejską. Będąc jednak świadomymi, że w dającej się przewidzieć przyszłości nie jest to możliwe, widzą w tym sprawę drugorzędną. W walce, która rozgrywa się w Kijowie, chodzi przede wszystkim o władzę.

To właśnie dlatego Janukowycz w ostatniej chwili zrezygnował z podpisania umowy stowarzyszeniowej z UE. Potencjalne rosyjskie retorsje, a także niektóre zapisy zawarte w porozumieniu uderzyłyby w interesy ukraińskich oligarchów, czyli zaplecze polityczne prezydenta. Ucierpiałyby też kieszenie zwykłych obywateli. Jedno i drugie zagroziłoby głównemu celowi Janukowicza: reelekcji w zaplanowanych na początek 2015 r. wyborach prezydenckich.

Z kolei opozycja, płynąc z prądem nastrojów, zbija polityczny kapitał poprzez podgrzewanie euroentuzjazmu. Ten ostatni wyraża się wiarą i nadzieją, że podpisanie umowy stowarzyszeniowej to pierwszy krok ku temu, by na Ukrainie żyło się tak jak na mitycznym Zachodzie. Marzenia podsycił zarówno proslonijny Kliczko, jak i niekojarzona wcześniej z euroentuzjazmem Swoboda, której liderzy zaczęli się nagle wypowiadać o UE w stylu Danuty Hübner czy Róży Thun.

Nad Wisłą jednak buduje się czarno-białą narrację. Zapominając przy tym, że konflikt na Ukrainie na pewno nie zakończy się zdecydowanym zwycięstwem żadnej ze stron, gdyż obie mają dziś stabilne poparcie polityczne, a więc współpracować będziemy musieli zarówno z tymi „dobrymi”, jak i „złymi”.

To kolejny raz, gdy kierujący się własnym doraźnym interesem ukraińscy politycy spotykają się z polskimi: walczącymi o demokratyzację i prawa człowieka mes-

janistami, pełnymi w dodatku moralnej wyższości nad „skorumpowanymi” sąsiadami. Podobnie było w lipcu br. na Wołyniu, gdy szczerze dążenie do pojednania prezydenta Komorowskiego spotkało się z wyreżyserowanym spektaklem strony ukraińskiej zainteresowanej tylko tym, by ta kontrowersyjna sprawa nie zaszkodziła jej politycznie. Nasi wschodni sąsiedzi wiedzieli przy tym doskonale, że „advokat

Ukraińska opozycja, płynąc z prądem nastrojów, zbija polityczny kapitał poprzez podgrzewanie euroentuzjazmu

Ukrainy w UE” nie obrazi się, że na spotkanie z prezydentem Polski wydelegowano zaledwie wicepremiera, ponieważ prezydent Janukowycz przebywał w tym czasie na „urlopie roboczym” na Krymie. Polacy przecież przy każdej okazji powtarzają, że nasi sąsiedzi nie są jeszcze gotowi do pojednania, muszą do niego dopiero dorosnąć.

Kiedy interesy spotykają się z ideologią, trudno zarówno o rzeczywiste porozumienie, jak i efektywne współdziałanie. Czy to nie dlatego nie udało nam się jak dotąd zrealizować z Ukrainą żadnego strategicznego projektu?

Kraj zanizonych płac

Z prof. Mieczysławem Kabajem
rozmawia Stefan Sękowski



MIECZYŚLAW KABAJ

profesor ekonomii, ekspert ds. rynku pracy

Niskie wynagrodzenia są jedną z głównych przyczyn emigracji Polaków. Jeśli przedsiębiorcy nie zrozumieją, że muszą płacić więcej za pracę, za kilka lat nie znajdą na rynku wykwalifikowanych pracowników.

W czerwcu związki zawodowe zawiesiły swoje uczestnictwo w Komisji Trójstronnej. Zamiast spotkań z pracodawcami i rządem preferują demonstracje na ulicach Warszawy. Z kolei w niedawnym spotkaniu w Centrum Partnerstwa Społecznego na temat powrotu do rozmów nie wzięli udział pracodawcy, którzy przysłali jedynie kurtuazyjny list. Dlaczego załamał się dialog społeczny na temat stosunków pracy i gospodarki?

Dialog społeczny zakłada, że wszystkie sporne kwestie powinni wspólnie rozwiązywać trzej partnerzy społeczni. Istotą dialogu jest to, że wszystkie jego strony muszą uzyskać satysfakcjonujące wyniki. Tego tutaj nie było – czy w przypadku podwyższenia wieku emerytalnego, czy wprowadzenia rozliczania czasu pracy w okresie 12 miesięcy – wszystkie propozycje rządu popierają pracodawcy, nato-

miast nikt nie pyta o zgodę trzech największych central związkowych.

Za tymi propozycjami stały solidne argumenty zarówno rządu, jak i pracodawców. Podniesienie wieku emerytalnego jest konieczne z uwagi na zmiany demograficzne. Z kolei elastyczny czas pracy ułatwia funkcjonowanie branżom cechującym się zmiennym zapotrzebowaniem na pracę. To istotne, zwłaszcza w dobie kryzysu.

Kwestię wieku emerytalnego można rozwiązać poprzez administracyjne zmuszanie do dłuższej pracy lub przez motywację. W wielu krajach ludzie faktycznie przechodzą na emeryturę znacznie później, niż wynosi wiek emerytalny, ponieważ to oznacza dla nich konkretne korzyści finansowe. Tak się dzieje np. w Japonii, gdzie wiek emerytalny wynosi 60 lat, zaś kobiety pracują średnio do 69., a męż-

czyżni do 71. roku życia. Związki zawodowe proponowały, by każdy mężczyzna miał prawo do przejścia na emeryturę po 40 latach pracy, a kobieta po 35, ale jeśli będą chcieli pracować dłużej, wówczas będą mogli pobierać w przyszłości wyższą emeryturę. Nie spotkały się ze zrozumieniem. Już wcześniej kodeks pracy był bardzo liberalny, jeśli chodzi o elastyczny czas pracy, bo umożliwiał rozliczanie w okresie 4 miesięcy. Wydłużenie tego okresu właściwie likwiduje dodatki za nadgodziny. Wprowadzenie 8-godzinnego dnia pracy było ogromnym sukcesem i zakłada możliwość przekroczenia tego czasu o jedną godzinę w wyjątkowych wypadkach. To istotne także dla samych pracodawców, bo po 8 godzinach pracy spada jej wydajność, zwiększa się również liczba wypadków w pracy. Związki zawodowe być może zgodziłyby się na wprowadzenie elastycznego czasu pracy na okres przejściowy – ale nie na wpisanie go na stałe do kodeksu pracy.

Do tego dochodził także spór o podwyżkę płacy minimalnej. Wyliczył pan, że różnica między propozycjami rządu i pracodawców a minimalną propozycją związków zawodowych to ok. 29 zł netto miesięcznie. Naprawdę związki miały o co kruszyć kopie?

W kontekście permanentnego odrzucania wszelkich postulatów związków zawodowych byłoby to przynajmniej danie im minimalnej satysfakcji. Brak zgody na tak mało radykalny postulat przelał czarę goryczy. W ten sposób pracodawcy podcinają gałąź, na której sami siedzą, ponieważ podwyżka płacy minimalnej, a co za tym idzie, podwyżka wynagrodzeń, ma duży wpływ na popyt wewnętrzny. Ludzie zarabiający najmniej o wiele więcej niż

najbogatsi wydają pieniędzy na krajowe produkty.

Pracodawcy bronią się, mówiąc, że przedsiębiorców nie stać na podwyżki wynagrodzeń.

Trudno w to uwierzyć, biorąc pod uwagę fakt, iż płace w Polsce są bardzo zaniżone w stosunku do wzrostu produktywności, PKB na mieszkańca, zysków przedsiębiorstw. Zakłada się, że wynagrodzenia powinny rosnać proporcjonalnie do wzrostu produktywności – gdyby tak było, to

Są kwestie, w których pracodawcy i związki zawodowe mogłyby utworzyć wspólny front – choćby w kwestii wykorzystania Funduszu Pracy

biorąc pod uwagę zmiany od 2001 r., w roku 2011 przeciętne wynagrodzenie wyniosłoby nie 3 400, lecz 4 660 zł. Jedynym usprawiedliwieniem dla luki między wzrostem produktywności a płac byłoby inwestowanie przez przedsiębiorców w rozwój firm. Ale tak się nie dzieje – gdyby tak było, przedsiębiorcy nie wykupywaliby obligacji skarbu państwa wartych setek milionów złotych. I znów pracodawcy działają na własną szkodę, ponieważ niskie płace są jednym z głównych, obok braku sensownych ofert pracy i wysokich kosztów wynajmu bądź zakupu mieszkań, przyczyn emigracji. Jeśli przedsiębiorcy nie zrozumieją, że muszą płacić więcej za pracę, za

kilka lat nie znajdą na rynku wykwalifikowanych pracowników.

Jak mają płacić więcej za pracę, gdy utrudniają im to wysokie pozapłacowe koszty pracy?

Przedsiębiorcy przesadzają, mówiąc, że do „czystego” wynagrodzenia muszą dorzucić drugie tyle w postaci ZUS czy składki emerytalnej i rentowej. Ale niewątpliwie wysoki poziom pozapłacowych kosztów pracy stanowi spore obciążenie, ma też poważne znaczenie psychologiczne, oddziałuje na wyobraźnię tych, którzy je ponoszą. Rząd powinien znaleźć rozwiązanie tego problemu. Przykładowo Dania obniżyła koszty pracy, kompensując utratę wpływów z nich z podwyższonego VAT.

Za to u nas podwyższa się VAT i nie obniża kosztów pracy. Z tego, co pan mówi, wynika, że tak naprawdę interesy pracodawców i pracowników w wielu miejscach się pokrywają. Prof. Jadwiga Staniszkis po spotkaniu w CDS pisała na łamach „Nowej Konfederacji”, iż wyczuła „atmosferę szalenie interesującego momentu przedprogowego, w którym skonfliktowane do tej pory środowiska związków i pracodawców odnajdują płaszczyznę porozumienia”. A jednocześnie narasta ich wspólny konflikt interesów z rządem. Podziela pan tę opinię?

No cóż, podczas tego spotkania związki zaproponowały zastąpienie Komisji Trójstronnej Radą Dialogu Społecznego, która działałaby przy Sejmie. Na kolejnym spotkaniu ja z kolei zaproponowałem, by RDS działała przy prezydencie, dzięki czemu na toczony na jej forum dyskusje nie

miałyby wielkiego wpływu spory między partiami politycznymi. I na tym nasz dialog o dialogu się skończył.

Może pracodawcom i związkowi zawodowym łatwiej byłoby dogadać się między sobą niż jednocześnie z rządem? Tak przez wiele lat funkcjonował dialog społeczny w Niemczech, na bazie zawieranych w ten sposób umów zbiorowych pracownicy wielu branż uzyskiwali bardzo dobre warunki pracy.

W niektórych kwestiach taki dialog jest możliwy, ale ostatecznie bardzo wiele spraw zależy od rządu. A są kwestie, w których pracodawcy i związki zawodowe mogłyby utworzyć wspólny front – choćby w kwestii wykorzystania Funduszu Pracy. Środki z niego, obecnie ok. 10 mld zł, służą do łatania dziury budżetowej. To pieniądze odprowadzane przez pracodawców i ich celem jest przeciwdziałanie bezrobociu – wspólna determinacja pracodawców i związków zawodowych mogłaby skłonić nowego ministra do ich odblokowania.

Co musiałoby się stać, by znów zaistniał dialog społeczny?

Powrót do dialogu trójstronnego jest konieczny, bo bez kompromisu z rządem niewiele da się zrobić. Z pewnością reformy wymaga Komisja Trójstronna – partnerzy społeczni muszą otrzymać dodatkowe uprawnienia, by spotkania nie były tylko pustymi dyskusjami, z których nic nie wynika. Innym rozwiązaniem byłaby wspomniana już przeze mnie Rada Dialogu Społecznego przy prezydencie RP. Jego mediacja byłaby bardzo pomocna. Przede wszystkim pracodawcy muszą zrozumieć,

że dojście do porozumienia ze związkami zawodowymi i uznanie przynajmniej części ich racji leży we wspólnym interesie.



STEFAN SĘKOWSKI

stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
dziennikarz „Gościa Niedzielnego”

Papież ponad prawicą i lewicą



KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
publicysta „Nowego Obywatela”

Kościół nie jest zakładnikiem żadnej ze świeckich doktryn. Co nie znaczy, że jego nauka społeczna i gospodarcza nie może być inspiracją dla poszukiwania dobra w obrębie świeckich społeczeństw.

Niedawna publikacja adhortacji apostołskiej „Evangelii Gaudium” (Radość Ewangelii) okazała się – z polskiej perspektywy – wydarzeniem dość smutnym. Nie myślę nawet o niechlujnym przekładzie, choć i to może być znamienne dla kondycji instytucji kościelnych w Polsce. Wrzawa wokół tego dokumentu pokazała, jak bardzo spłaszczona jest dziś rozumienie katolickiej nauki społecznej. I jak podporządkowane ideologicznym wojnom zwolenników różnych paradygmatów społeczno-gospodarczych próbujących wciągnąć doktrynę Kościoła w swoje gry światopoglądowe.

Manipulacje lewicy

Najpierw zwrócę uwagę na zachowania po lewej stronie. Tutaj zachwyty dokumentem sygnowanym przez papieża Franciszka wzbudziła mocna krytyka współczesnej odmiany globalnego kapitalizmu. Oparty jest on na panekonomizmie, czyli podporządkowaniu wszelkich wartości wspólnotowych (a niejednokrotnie także

osobistych) przekonaniu, że „rynek ma zawsze rację”, że miarą wartości społeczeństw i osób jest ich przydatność gospodarcza.

„Franek antykapitalista” – czytałem tu i ówdzie pełne entuzjazmu pochwały biskupa Rzymu. Notabene nie poszło za nimi słowo „przepraszam” za nagonkę, jaką urządzono na Ojca Świętego w pierwszych dniach jego pontyfikatu, w związku z zarzutami o jego rzekomą kolaborację z juntą wojskową rządzącą Argentyną na przełomie lat 70. i 80. XX w. Lewica powinna przy tym pamiętać, że ostra krytyka globalnego kapitalizmu przez papieża idzie w parze z integralnym utrzymaniem innych elementów katolickiej nauki społecznej, odnoszących się do godności i świętości życia ludzkiego.

Konsternacja prawicy

Wśród mniej lub bardziej konserwatywnych liberałów, libertarian i wszelkich wyznawców supremacji wolnego rynku zapanowała z kolei konsternacja. Od wście-

kłości niektórych libertariańskich doktrynerów, przez zarzuty o socjalizm i komunizm pod adresem głowy Kościoła, po nieśmiało próby naiwnego sugerowania, że „decyzje gospodarcze są przecież moralnie neutralne”.

Także pozytywne papieskie wypowiedzi o spółdzielczości jako szansie na bardziej przyjazny wspólnotom ludzkim model gospodarczy wzbudziły u nas zdumienie. Bo polskie doświadczenia ze spółdzielczością wciąż w znacznej mierze odwołują się do PRL i postkomunistycznych realiów funkcjonowania szczególnie spółdzielczości mieszkaniowej.

Czyni to niestety jej recepcję i znajomość żenująco niemerytorycznymi. I potwierdza, że polski liberalizm ma wciąż mocno reaktywny charakter, nadal pełno w nim resentymentu wobec wszystkiego, co da się łatwo zwerksłować jako „socjalizm” albo „PRL”, a często jest mało refleksyjnym zapożyczeniem sięgającym jeszcze thatcheryzmu lat 80. XX w.

Poza świeckimi ideologiami

Wracając do katolickiej nauki społecznej. Z premedytacją lub przez ignorancję nie dostrzega się na ogół następującej kwestii: ta dziedzina myśli Kościoła leży daleko poza osią sporu socjalizm–liberalizm/lewica–prawica. Katolicyzm postrzega człowieka w jego wymiarze duchowym, egzystencjalnym i społecznym poza horyzontalnym porządkiem świeckich ideologii, w których człowiek często jest spłaszczany do kwestii rasowych, ekonomicznych, kulturowych.

Katolicka nauka społeczna nie krytykuje liberalizmu z pozycji socjalistycznych ani socjalizmu z pozycji liberalnych, ale zawsze i wszędzie ze względu na własne założenia doktrynalne: teologiczne i an-

tropologiczne, a także wynikające z nich konsekwencje społeczne. Stąd dla jednych będzie zawsze „zbyt liberalna/prawicowa”, bo np. odrzuca walkę klas jako metodę prowadzenia sporu społecznego, kładzie nacisk na reformistyczną/ewolucyjną konieczność zmian, odrzuca upaństwowienie/nacjonalizację własności i neguje skrajny etatyzm i paternalizm systemów pomocowych. Te punkty stanowią niezbywalną część katolickiej nauki społecznej, zabezpieczającej choćby przez statolatrią (kultem państwa).

**Katolicka nauka społeczna
nie jest własnością i orężem
liberałów, choć przez lata
III Rzeczypospolitej bardzo
usilnie starali się oni do tego
przekonywać**

Z drugiej jednak strony Kościół zawsze (a nie od czasów Soboru Watykańskiego II, jak próbuje przekonywać część konliberałów) zwracał uwagę na fakt, że także własność prywatna ma charakter społeczny i nie jest jedynie absolutną własnością jednostki, ale ma ostatecznie charakter służebny. Dalej, również w przedsoborowej nauce Kościoła znajdują się mocne zarzuty pod adresem kapitalizmu i warstw posiadających, z reguły wskazujące na to, że wyznawany przez nich kult panekonomizmu i egoizm klasowy oddala ludzi i wspólnoty ludzkie od Kościoła, a zatem od zbawienia.

Ponadto już w przedsoborowej nauce katolickiej znajdziemy poparcie dla in-

spirowanych chrześcijaństwem związków zawodowych. Jak i zwrócenie uwagi na to, że państwo ma obowiązki społeczne również w dziedzinie gospodarczej: ponieważ Kościół zawsze widział integralny związek między różnymi sferami (między)ludzkiego życia. Ostrzegając nie tylko przed statolatrią, lecz także przed szerszym niebezpieczeństwem: idolatrią, w tym przed kultem absolutyzacji doktryn gospodarczych, rzekomo zupełnie suwerennych względem osądu Kościoła i osądu etycznego.

Prawdziwe nauczanie Kościoła

Kilka dni temu, gdy Internet huczał od zachwyty i potępień pod adresem papieża Franciszka i adhortacji apostolskiej „Evangeli Gaudium”, na portal społecznościowy wrzuciłem fragment pewnego wcześniejszego dokumentu Kościoła z pytaniem, kto jest autorem cytatu/całości i z jakich lat on pochodzi. Ów wyimek brzmi tak: „Postępowanie niektórych katolików przyczyniło się znacznie do osłabienia wśród robotników zaufania do religii Jezusa Chrystusa. Ci właśnie katolicy nie chcieli zrozumieć, że to miłość chrześcijańska żąda uznania pewnych praw przysługujących robotnikom i dlatego Kościół również zdecydowanie się ich domaga. Co sądzić o postępowaniu tych, którzy w swoich kościołach kolatorskich uniemożliwili odczytanie encykliki »Quadragesimo anno«? Co powiedzieć na to, że katolicy przemysłowcy nawet dziś jeszcze okazują się wrogami tego chrześcijańskiego ruchu robotniczego, który My sami zalecaliśmy? Czyż nie jest to rzecz godna ubolewania, że czasem nadużywa się prawa własności uznawanego przez Kościół, aby pozbawić robotnika sprawiedliwej zapłaty i należnych mu praw społecznych? Istotnie, obok

sprawiedliwości zamiennej należy jeszcze przestrzegać sprawiedliwości społecznej, nakładającej obowiązki, od których nie wolno się uchylać ani pracodawcom, ani robotnikom. Sprawiedliwość społeczna domaga się od jednostek tego, co służy dobru ogółu”.

Odpowiedzi na pytanie o autorstwo powyższego fragmentu były różne: Franciszek, kard. Stefan Wyszyński, Jan XXIII, Paweł VI – co wskazywało, że komentujący umiejscawiają takie stwierdzenia gdzieś w nurcie posoborowej nauki Kościoła. Rzecz w tym, że to fragment encykliki Piusa XI, „Divini Redemptoris” z 1937 r. Znanej lepiej jako... „O bezbożnym komunizmie”. Dokumentu, który trudno byłoby uznać przecież za „lewicowy”...

Porzucić jałowe spory

Myślę, że to najlepsze podsumowanie tekstu: katolicka nauka społeczna nie jest własnością i orężem liberałów, choć przez lata III Rzeczypospolitej bardzo usilnie starali się oni do tego przekonywać. Z kolei antyklerykalna czy bardziej radykalna część lewicy nie powinna ludzię się nadziejami, że Kościół „zreformuje się” wedle jej gustów. Kościół nie jest zakładnikiem żadnej ze świeckich doktryn, co nie znaczy, że jego nauka społeczna i gospodarcza nie może być inspiracją dla poszukiwania dobra w obrębie świeckich społeczeństw.

Ale tę jego rolę łatwiej będzie nam w Polsce pojąć, jeśli uczciwie podejmiemy do własnych oczekiwań wobec katolickiej nauki społecznej, zamiast prowadzić jałowy spór o to, czy doktryna Kościoła jest „lewicowa”, czy „liberalna” w materii społeczno-gospodarczej. Powiem wprost, ryzykując jako socjalista krytyką własnego środowiska: jest wobec nich nadrzędna, a równocześnie – pomocnicza.

W miłości pustka i utrapienie



KRZYSZTOF KOEHLER

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
literaturoznawca, profesor UJ

Wszystkie trzy filmy mówią o miłości. A właściwie o jej fizycznej stronie: o seksie, który staje się prawdziwym dla człowieka zagrożeniem.

François Ozon (o którym Wikipedia nie wiem dlaczego donosi, że jest jawnym homoseksualistą) i jego najnowszy film „Młoda i piękna”. Joseph Gordon-Levitt (o którym donosi angielska Wikipedia, iż jest zadeklarowanym feministą) i jego najnowszy film „Don Jon”. A jeszcze wcześniej (co możecie zobaczyć pewnie sobie już na DVD) Steve McQueen (o którym Wikipedia pisze, że mieszka w Amsterdamie razem ze swoją wieloletnią partnerką i dziećmi) i jego film „Wstyd”. Wszystkie trzy mówią o miłości. A właściwie o fizycznej stronie miłości: o seksie, który staje się prawdziwym dla człowieka zagrożeniem.

Nie dowiemy się co prawda, dlaczego bohaterka Ozona, mieszkająca w świetnej dzielnicy Paryża, mająca dobrze sytuowaną i wykształconą matkę, która znajduje swoje spełnienie w pożyciu ze swym nowym partnerem (którym zastąpiła męża po rozwodzie) – młoda i piękna uczennica ekskluzywnego liceum – zaczyna uprawiać najstarszy zawód świata. Z mężczyznami w wieku swego ojczyca lub ojca lub

z nieco starszymi: w pokojach hotelowych, ale i we wnętrzach samochodów. Pieniądzy nie wydaje. Bo ma ich wystarczająco dużo. Zawodu miłosnego nie przeżyła. Mama i ojczym nie sprawiają wrażenia ludzi od niej odsuniętych. Po stracie ojca nie cierpi. Relacje z młodszym bratem ma świetne. Wydaje się (tak tłumaczy to psycholog w filmie), że po prostu poszukuje tylko mocnych wrażeń.

Don Jon, bohater grany przez reżysera – Levitta – jest za to namiętym oglądaczem filmów pornograficznych. Wyobraźcie sobie gorącą scenę łóżkową z udziałem narzeczonej (gra ją Scarlett Johansson), po której bohater czeka tylko na to, by dziewczyna zasnęła, po czym, by zaspokoić swoje erotyczne emocje, ogląda pornosy. Mówi, że tylko tam potrafi się całkowicie zapomnieć. Z fizyczną, realną osobą (jest pokazany jako typowy łowca dyskotekowych miłości z superbryką, ćwiczeniami na siłowni i sportem oglądanym w TV z kolegami – typowo bohater i target reklamy piwa w Polsce) trochę mu się to nie udaje: „robi to” sprawnie, mając ulu-

biony zestaw zachowań, którego nie zawsze przestrzega druga strona, co innego w filmach... tam jest zupełnie inaczej.

No i bohater filmu „Wstyd”: zdaje się, że najdalej zabrnął w podróży do zaspokojenia. Jego przypadłością jest uzależnienie od seksu. Niekończąca się, niezaspokajalna pasja, potrzeba, przymus, który prawie absolutnie demoluje jego życie, aż po granice rozpaczy.

Czy to, że jakoś ostatnio tego typu filmy pojawiły się na naszych ekranach, świadczy o tym, iż kultura, która wszak od jakiegoś już długiego czasu wyciąga nas z domu (i wyciąga nam pieniądze z portfela!), odwołując się w mniej lub bardziej zawołowanej formie do libido (znamy ten proces wszak nie tylko z kina, ale tak samo z teatru – vide ostatnie awantury ze Starym Teatrem w Krakowie i z domniemanym uprawianiem seksu z dekoracjami w wykonaniu Krzysztofa Globisza czy ze sztuką współczesną: ktoś tam obściskujący się w lubieżnościach z krzyżem), zabrała się wreszcie i do dekonstrukcji owego seksualnego swego motoru? Ukrytej sprężyny nie tylko działań reklamowych, ale i – jak się okazuje – swych wysublimowanych bardziej twórców?

Być może film Levitta, a na pewno McQueenę można uznać za tego typu głosy.

„Wstyd” jest zaś właściwie oskarżeniem gwałtownym owej dzikiej seksualności kultury współczesnej. W jednej ze scen filmu, scenie, która zapewne mogłaby stanowić spełnienie, podejrzewam, najbardziej mrocznych marzeń, jak to się dawniej mawiało, erotomana, czyli seks z wieloma kobietami, widzimy w zbliżeniu udręczoną, pełną niewyobraźnego cierpienia, jakże smutną, przeraźliwie smutną twarz bohatera (Michael Fassbender).

Levitt z istic hollywoodzkim gestem tworzy moralitet o sile prawdziwej miłości.

Mamy nadzieję, że bohater odetnie się od swego uzależnienia. Pojawia się tu też ciekawy i dyskusyjny wątek Kościoła katolickiego: spowiedzi. Dyskusyjny on jest dlatego, że nie bardzo wiemy (ale właściwie spieramy się i jako widzowie między sobą, i z reżyserem), czy bohaterowi coś w ogóle przynosiła cotygodniowa spowiedź i – takie odnosimy wrażenie – automatyczna pokuta (dziesięć zdrowasiek, pięć „Ojcze nasz” albo w odwrotnej proporcji). Kiedy się „nawraca” na miłość, po raz pierwszy zadaje pytanie swemu spowiednikowi o ową automatyczność pokuty. W odpowiedzi słyszy tylko „Ufaj, synu”. Co to znaczy? Idźcie, zobaczcie, może wy pojmiecie, my wciąż się tu w domu ze sobą o to spieramy.

Czy kultura, która wszak od jakiegoś już długiego czasu wyciąga nas z domu (i wyciąga nam pieniądze z portfela!), odwołując się do libido, zabrała się wreszcie i do dekonstrukcji owego seksualnego swego motoru?

U Ozona jest jednak inaczej. Nie ma tu oskarżenia, nie ma rozwiązania; nie mamy żadnej pewności, czy „młoda i piękna” pozostawi za sobą ten przygodowy etap życia. Zresztą dlaczego niby miałyby to uczynić?

Seks jest zaraz za ścianą.

Rodzinna sielanka: rodzice czekają ze śniadaniem. Ojczym podchodzi, otwiera drzwi do pokoju pasierba: przerywa jego masturbację; podchodzi do pokoju pa-

sierbicy, ale nie wchodzi, bo przez drzwi słyszy, że dziewczyna uprawia seks ze swym chłopakiem.

Schodzi na dół, mówi do kobiety:

„Nie czekajmy na nich. Szybko nie zejda”.

No to po co? Którędy przebiega granica? Z chłopcem pod rodzicielskim dachem czy za pieniądze w hotelu? Może prawie wszystko jedno...

Wesprzyj nas

Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.

Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

09 1560 0013 2376 9529 1000 0001 (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

Dlaczego warto nas wspierać?

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnienia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania. Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Darczyńcy:

Trzydziestu Czterech Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Krzysztof Dąbkowski, Jerzy Martini, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Remiszewski

Redakcja:

Krzysztof Bosak (sekretarz redakcji), Michał Kuź, Bolesław Piasecki, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski, Piotr Woyke.

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Grzegorz Pytel, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka.

Grafika (okładki):

Piotr Promiński

Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:

Przemysław Skrzydelski

Skład:

Rafał Siwik

Komunikacja internetowa:

Piotr Woyke

Wydawca:

Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt:

redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa